

**Paweł Głowacki**      **Wyznania szczerego entuzjasty teatru**

# Żonglowanie górną powieką

**W** „Dziewczynie” Bolesława Leśmiana „*Dwunastu braci, wierząc w sny, zbadano mur od martej strony*”. Bo tam, po onirycznej podszewce świata snuł się płacz dziewczyny. Bracia pokochali brzmienie łez. O płaczącej mówili: „*Lka, więc jest!*”. Wierzyli. I to wystarczyło. Chwycili za młoty „*i jęli w mury tłuc z łoskotem!*”. Tłukli szaleńczo, od serca, ale cóż począc... Koniec nie wybiera. „*I wszyscy w jednym zmarli dniu i noc wieczystą mieli jedną!*”.

Jednak koniec ich nie był końcem cudu baśni. Wiara w piękną marę za murem nie szczęła. Cienie braci, szare ślady po ludziach, porwały za młoty. Aż przyszła noc i przepadły cienie, „*bo cień się mrokom nie opiera!*”. Zniknęły ślady po braciach, ale cud trwał. Był, bo w kamień waliły same młoty, tłukły od serca, którego już przecież nie było. Aż wreszcie runęła twardość naszej strony świata, „*tysiącem ech wstrząsając wzgórze i doliny!*”. I co? „*Poza murem - nic i nic! Ni żywej duszy, ni Dziewczyny! / Niczyich oczu ani ust! I niczyjego w kwiatach losu! / Bo to był głos i tylko - głos, i nic nie było, oprócz głosu!*”. Po wierze w realność mary za murem została pustka. „*Wobec kłamliwych jawnie snów, wobec zmarniałych w nicość cudów, / Potężne młoty leży w rząd na znak spełnionych godnie trudów, / I była zgroza nagłych cisz! I była próżnia w całym niebie!*”. Tak, została nicość ciszy, została próżnia jak zwykle milczącej czerni nad głową. Ale pozostało też finalne pytanie Leśmiana, przerażające i chyba najbardziej gorzkie, jakie zdołał nam, coraz skrajniej racjonalnym, postawić.

„*A ty z tej próżni czemu drwisz, kiedy ta próżnia nie drwi z ciebie?*”. No właśnie, panie Krzysztofie Rekowski, który w Teatrze Ludowym wyreżyserował „Przemyślenia Sindbada Żeglarza”, puchowy cud baśni Leśmiana zmieniając w sceniczny głąz parodię! Czemu drwisz?

Za namową tajemniczego diabła morską Sindbad opuszcza swego wuja Tarabuka. Zostawia tego morderczego grafomana, zostawia komnatę rymów skarłających, intonacji żałosnych, treści żadnych i metafor przaśnych jak owcza byndza. Porzuca świat poezji martwej i rusza w podróż po oddech, w podróż od wyspy do wyspy, od cudu do cudu, od snu do snu. Wypływa w rejs dookoła kuli ziemskiej własnych marzeń onirycznych, by spotkać dziewczynę, dzięki której już nie będzie musiał wędrować, bo cud już na zawsze będzie przy nim. Owszem, jak się znał tej puchowej opowieści oczy podniesie - mózg zaczyna działać. Sny zaklęte w doskonałych frazach Leśmiana rzeczywiście ukazują swą jawnie kłamliwą maskę, cuda rzeczywiście marnieją w nicość. Ale kto i kiedy powiedział, że wiara w baśń jest wiarą prostacką? Który to dureń, widząc na ulicy dziewczynkę w czerwonym płaszczku i z kapturem na głowie, wyrzaskuje pytanie: a gdzie zły wilk, stara babcia i dzielny gajowy!!!?

W przedstawieniu Rekowskiego czułem się trochę tak, jak na jakimś ponurym wiecu starych białych racjonalistów. Proszę mózgow! Nie jesteśmy dziećmi, nie damy się nabrać wszystkim tym Leśmianowym bajaniom o wypach cudów, o wielorybach, Królach Pawicach, snach, mirażach, Smakoszach, Jajach Roka oraz innych diamentach jadalnych i Degialach dziwnych! Przecież tam nic nie ma, żadnego sensu, nic, jeno próżnia myśli, pustka po mózgu! Tak, weźmiemy tę próżnię w nawias parodystycznej drwiny, sceniczny żarcik upichcimy, piórkiem sążnistego kabaretu gołe stópki Leśmiana łaskocząc - na ludzi go wyprowadzimy! Niech przestanie udawać smyka w krótkich majtkach, niech wreszcie wydorosleje i przestanie mamić poważnych ludzi swą planetą wszelakiej maści pacynek!

I gdyby przynajmniej z niewiary w kojące moce baśni - w końcu każdemu wolno nie wierzyć - Rekowski uczynił jakiś mocny sceniczny walor. Gdyby podniósł przyłbicę i swym dziełem teatralnym rzucił nam w twarz frazę ostateczną: Którzy dziecko w sobie hodujecie - porzućcie wszelką nadzieję, bo w dzisiejszych czasach pacynka nic już nie może! Gdyby... Ale nawet i tego nie było. Był wielki, zimny głąz, co się ze strzępów Leśmianowej fabuły, suchych, marnych i obojętnych, sam zlepził. Było wielkie, kabaretowe harcownictwo, w poetyce swej godne najświetniejszych numerów chłopców z Monty Pythona albo też, jeśli kto woli, godne tamtych wiekopomych wiców braci Marx, kiedy to chłop chłopca w zad kopał przy wtórze niewidocznego tapera, w związku z czym zgromadzonym na widowni ludem wstrząsał frenetyczny szal radości. I było wreszcie ciągle mruganie do publiczności. Kto by pomyślał, że wszyscy tutaj - reżyser, scenograf, kompozytor muzyki i zwłaszcza aktorzy - są aż takimi arcy mistrzami w żonglowaniu górną powieką. Jesteśmy świetni, bo jesteśmy ponad to! - szeptały ich maniackalnie trzepocące rzęsy. Na permanentnym dystansiku my są i bawimy się świetnie! A ty?

A ja nie. Przepraszam, ale nie umiem być ponad, bo mam w sobie chłopca. Płaczę, gdy pacynka bije pacynkę, bo wierzę w realność bólu baśniowego drewnika. Ufam temu bólowi - nie umiem drwić. Leśmian mawiał, że baśń gra rolę „*tęczowego mostu, który nas łączy z dziedziną nielogiczną istnienia, z brzegiem urwistym owej tajemnicy, której twarz nie jest do twarzy ludzkiej podobna*”. Tak, nie bawiłem się w Ludowym, gdyż maska spektaklu była litą kalką twarzy ludzkiej, skrzywionej tikiem pustego rechotu.

**Teatr Ludowy. Bolesław Leśmian „Przemyślenia Sindbada Żeglarza”. Adaptacja Anna Rekowska. Reżyseria Krzysztof Rekowski. Scenografia Katarzyna Paćciorek. Muzyka Maciej Cieślak.**